Nr. 49. We Lwowie dnia 3. Grudnia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

29)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Niepokój o los wyprawy naszej, trapił niezmiernie Czekanowskiego i wpływał bardzo niekorzystnie na stan jego zdrowia. Brak snu i apetytu, rozdrażnienie nerwowe i gorączka zdradzały silne cierpienia moralne, chwilami nawet rozpacz go ogarniała. Szukając wyjścia z tego, nad wyraz przykrego położenia, postanowił, nie zważając na grożące niebezpieczeństwo, puścić się w dalszą podróż, nawet przy silnym wietrze. Zamiar ten, aczkolwiek ryzykowny, był jednak konieczny, to też zgodziliśmy się wszyscy na projekt jego bez żadnych opozycji; i 30 czerwca, pomimo bardzo silnego wiatru i fali ogromnej wystąpiliśmy do boju z żywiołami wrogimi, biorąc za hasło: „naprzód.“ Do Żygańska liczą od ujścia rzeczki, gdzieśmy się schronili przed burzą, wiorst zaledwie kilkanaście, zdecydowano tedy, ażeby nie odpoczywać, aż staniemy na miejscu. Tam zaś mieliśmy porzucić łódź i już dalszą drogę odbywać na reniferach.

W okolicach Żygańska brzegi Leny są skaliste, poszarpane i nie łatwo przystępne, stają one się wielce niebezpiecznemi wtedy, gdy wody rzeki, pędzone wiatrami, wdzierają się na nie bezustannie. Rzeka Lena ma tutaj 13 wiorst szerokości i wygląda w czas niepogody i wiatrów jak wzburzone morze, fale jej biją gwałtownie o skaliste, bryłami kamiennemi wysłane wybrzeże i wyrzucają do góry istne fontanny spienionej wody. Huk i łomot, do ryku grzmotów podobne, ogłuszają formalnie; a powstają one wskutek rzucania, tarzania i tarcia brył skalistych, mocą olbrzymią napierających wód.

Nie mając dostatecznych sił wioślarskich na to, ażeby módz płynąć przeciwko wiatrom i pod fale, uradzono wysłać na brzeg wioślarzy naszych, by nas holowali, wdzierając się i wspinając po urwistych skałach nadbrzeżnych; my zaś sami, przy pomocy sternika, uzbrojeni w długie drągi, okute żelazem na końcach, bierzemy na siebie obowiązek ochraniania łodzi, miotanej falami, od uderzeń o skały i kamienie podwodne, nareszcie kozak ma polecenie wyczerpywania wody ze statku, zalewanego ciągle rozbijającemi się o niego falami. Po wydanych rozporządzeniach, po krótkiej a szczerej modlitwie sternika, załoga nasza znakiem krzyża świętego zbroi pierś swoją, do walki gotową i staje do pracy, którą śmiało nazwać można nadludzką.

W chwili, gdy idący po brzegu i ciągnący za linę, uwiązaną do masztu łodzi, wparli nas gwałtownie w zamęt chaotyczny wirów nadbrzeżnych, zdawało się nam na razie, że łódź zgruchotaną zostanie: podrzucana do góry, przewalana z boku na bok, trącana o bryły kamieni, drżała, skrzypiała, gięła się cała, a my, cośmy ją mieli chronić od uderzeń, nie mogliśmy się sami utrzymać na nogach. Chwila jednak krytyczna przeszła szczęśliwie, łódź ocalała. Ochłonąwszy z przerażenia chwilowego, przywykamy powoli do zajęć i pracujemy przy największem możebnem natężeniu sił, bez wytchnienia, bez przerwy. Po dziewięciu godzinach wysiłków niezwykłych ze strony wszystkich członków naszej wyprawy, mając poranione ręce, nogi, przemokli wszyscy do nitki, wyczerpani kompletnie i prawie mdlejący, dostajemy się nareszcie o trzeciej godzinie po północy do ujścia rzeki Żyganki, inaczej Strekałówką zwanej.

Na prawym brzegu tej rzeczki, z poza wzgórza błysnął nam, jako symbol zbawienia, złocony krzyż kapliczki miejscowej, rozpości-

rający swoje ramiona nad walącymi się domkami, byłego miasta powiatowego — Żygańska.

Po przeniesieniu zarządu powiatowego do Wierzchojańska, Żygańsk wyludnił się zupełnie. Domki opustoszone świecą ruiną i robią smutne wrażenie. W czasie naszego przybycia, z mieszkańców Jakutów nie było nikogo; zastaliśmy tylko popa, Rosjanina, Mikołaja Tietinkowa, djaka Samojeda, wdowca bezdzietnego i Tunguza z rodziną nieletnią. Po za temi osobami nikogo więcej nie było w Żygańsku. Żona popa i jego córka bawiły pod tę porę w Jakucku, dokąd się były wybrały w celu „szukania tam losu“. (Iskat’ sud’bu“). Zwyczajem jest bowiem powszechnie przyjętym w rodzinach tutejszych duchownych prawosławnych, że wywożą co roku do Jakucka, ze wszystkich kątów prowincji, dorosłe córy swoje, ażeby je tam wydawać za mąż, za młodych seminarzystów, mających ukończone studja i gotujących się do wyświęcenia, które nastąpić może dopiero po ożenieniu.

Wobec smutnej dla nas okoliczności, żeśmy nie znaleźli w Żygańsku nikogo z mieszkańców, projekt dostania przewodników i reniferów upaść musiał sam przez się. Na razie więc nie pozostawało nam nic więcej nad to, jak płynąć dalej na łodzi. To też zabrawszy ze sobą jedynego zdolnego do pracy człowieka w Żygańsku, Tunguza, po dwudniowym, przymusowym tam pobycie zatrzymani nowymi, silnymi wiatrami, wyruszyliśmy nareszcie w dalszą podróż dopiero 3. lipca, przy dość silnym wietrze północno-wschodnim; wiatr ten jednak po niejakimś czasie wzmógł się do tego stopnia, że zmusił nas szukać schronienia w zatoce, utworzonej przy ujściu rzeczki Tunguz-atyr. Rzeczka, o której mowa, jest to rodzaj strumyka górskiego, sączącego swe wody po wązkiem łożysku, wśród wysokich i malowniczych skał nadbrzeżnych; te ostatnie składają się z pokładów szarego piaskowca i łupków, pomiędzy pokładami piaskowca szarego występują w wielu miejscach warstwy żółtego piaskowca, bardzo twardego, w nich znalazł Czekanowski liczne skamieliny zwierzęce, mianowicie mięczaki różne, szczególniej zaś Ammonity, Belemnity, Ceratity, a nadto nieco dalej od ujścia znalazł kości wielkich kręgowców. Zajęcie przy rozbijaniu skał łomami, młotami i oskardami żelaznemi, następnie wykuwanie pojedynczych okazów dłutami z niezmiernie twardej opoki, połączone było z niemałym trudem, któremu się gorliwie oddawał Czekanowski. Zajęty tą pracą zdawał się na chwilę zapominać o dotychczasowych trudach i o obecnem naszem, niewesołem położeniu. Wzgórza dosyć wysokie, okalające z obu stron wązką dolinę Tunguz-atyru, wytwarzają szeregi bocznych, zacisznych, niekiedy nawet malowniczych dolin, tutaj znaleźliśmy obfitą florę. Rośliny pokryte były kwieciem i wabiły ku sobie roje owadów, stąd też zbiory nasze botaniczne i entomologiczne wzbogacone zostały pięknymi okazami.

Ale gdyśmy tak zajęci byli zbiorami, burza szalała wciąż na rzece i gotowała nam niespodziankę, wielce nieprzyjemną: mianowicie fale, pędzone wiatrem północno-wschodnim, zarzuciły ujście rzeczki, bryłami kamieni, piaskiem i żwirem, a to w ten sposób, że się utworzyła ława jednociągła na wybrzeżu, nad którą

KAROLINA ŚWIETLA.

RUSAŁKA.

Obejście wójta w Świetli*) piękniejsze ma położenie, niż jakiebądź inne w górach jesztedzkich. Dom mieszkalny stoi jak raz naprzeciw kościoła, a pod oknami w ogródku, przeciętym jasną żyłą strumyka, tyle barwi się kwiecia od śniegu do śniegu, że aż strach tam wejść, aby nie zdeptać niewinnego jakiego kwiatuszka.

Po za domem ciągnie się rozległy sad owocowy. W lecie, kiedy gałęzie drzew splatają się u góry, robi on wrażenie ogromnej altany, przez której sklepienie zaledwie tam i ówdzie prześwieca firmament niebieski, nito ciemno szafirowe gwiazdy. Od zabudowań gospodarskich za sadem, otwiera się widok, któremu nie tak łatwo znaleźć podobny.

Od strony północnej wznosi się góra z Jesztedem, niby olbrzymia ściana zielona, srebrem niezliczonych potoczków przetkana, — na zachodzie piętrzą się, jeden ponad drugim, aż hen ku niebu, ciemne szczyty, jak gdyby skamieniałe fale morskie, dźwigając na lesistych zboczach już to nawpół zburzoną wieżę, już kapliczkę lub ruiny starożytnego zamku.

W kierunku południowym wybiega z dna falistej doliny siwa, dwugłowa Bezdzieza. W czasach prastarych bywała ona znanem ogólnie siedliskiem wszystkich złych duchów królestwa czeskiego. Odkąd wzniesiono jed ak na lewym jej szczycie klasztor, duchy owe rozpierzchły się po całej krainie, a znaczna ich część schroniła się do lasów jesztedzkich, gdzie jęły tak dokazywać i po dziś dzień jeszcze dokazują, że przy samym już tylko opowiadaniu o ich sztuczkach słuchaczom włosy powstają z przerażenia na głowie.

*) Świetla, wioska w górach jesztedzkich, z której pochodził mąż Autorki, Piotr Mużak i gdzie przodkowie jego piastowali w ciągu lat czterdziestu urząd wójtowski. Pani Joanna Mużakowa, z domu Rottówna, spędzała po zamążpójściu wakacje w Świetli i nazwę ulubionej wsi przybrała sobie za pseudonim literacki.
(Przyp. tłum.)

się wznosił od strony lądu wał, wysoki na kilka metrów. Nasyp ten wysoki odciął łódź naszą od komunikacji z rzeką i uwięził ją w jeziorku, które się uformowało z zatoki. Chcąc wydostać się z niewoli mieliśmy dwie drogi przed sobą, albo przekopać kanał aż do rzeki wzdłuż zasypanego obecnie, długiego ujścia, albo przeciągnąć łódź po przez wał i ławicę. Próby poczynione z naszej strony w obu kierunkach wykazały, że sami bez obcej pomocy z tej matni, zgotowanej przez nawalnicę, trwającą dni kilka, wydostać się nie będziemy mogli. Ale gdzie i kogo prosić o pomoc? Tunguz oświadczył nam, że na niedalekim przylądku, zwanym Choronko, powinni się teraz znajdować rybacy Jakuci; postanowiliśmy więc wysłać gońca do nich z prośbą o ratunek. Jakoż na szczęście, posłaniec znalazł rybaków i ośmiu z nich przybyło nazajutrz do nas, teraz dopiero pracując wspólnemi siłami zdołaliśmy łódź opróżnioną z ładunku, przeciągnąć na wałkach drewnianych po przez zapory kamienne, i już wieczorem 7. lipca dostaliśmy się znowu na rzekę.

Płynęliśmy w dalszym ciągu bardzo powoli, ale przynajmniej teraz bez żadnych cięższych przepraw. Po kilku dniach podróży, odbytej wśród niezwykłego dla nas ożywienia, bośmy spotykali w wielu miejscach grupy Jakutów, zajętych rybołówstwem, spostrzegł Czekanowski, nie daleko od ujścia rzeki Muna na płaskim, obszernym przylądku, zwanym Czepczuga, wielką bryłę kamienną, zaniesioną tu widocznie lodami wiosennymi z dalekich jakichś okolic. Bryła ta wyglądała jak obelisk wśród piaszczystej niziny; przy bliższem jej zbadaniu okazała się prawie cała złożona ze skamielin zwierzęcych, spojonych rozsypującym się piaskowcem. Zwiedzając następnie dolinę Busistach, w pobliżu osady Jakuckiej Siktiach położonej, znaleźliśmy na brzegach rzeczki śliczne gatunki szczypawek (Carabus). Niektóre z nich miały złotawy rąbek i gwiaździste złote plamki na tle metalicznem ciemno-szafirowem pokryw skrzydłowych. W osadzie Siktioch mieszkańcy Jakuci byli nieobecni, pozostał w niej tylko przedstawiciel władzy miejscowej, 80 letni starzec, imieniem Nestor, naczelnik Chatylińskiego rodu jakuckiego. Przybył on do nas w pełnym mundurze, składającym się z czarnego „kaftana“ kroju rosyjskiego, galonem oszytego, z pasa srebrnego i zawieszonemi na nim dwoma drobnemi szabelkami. Wszystkie te insygnja dostojeństwa były mu przysłane z „gubernji“ przy reskrypcie, zredagowanym po rosyjsku i po jakucku. Naczelnik okazał się bardzo uprzejmy, wysłał natychmiast gońca, sprowadzonego z poblizkiej stacji rybołównej, na leciutkiej, z kory brzozowej sporządzonej łódeczce, do Bułunu, gdzie się znajduje zarząd 2. Chatylińskiego rodu, a zarazem i całego ułusu Żygańskiego. Goniec, mając za całą oznakę swego urzędu pióro łabędzie przy czapce, wiózł rozkaz ustny, ażeby natychmiast przygotowano w Bułuniu 20 reniferów i kilku przewodników, obowiązanych towarzyszyć nam, na Olenek.

Mając już w taki sposób zapewnione środki do dalszej podróży, ze spokojniejszym umysłem i lżejszem sercem odbywaliśmy resztę drogi do Bułuna, dokąd przybyliśmy 27 lipca, w 50 dni po wyjeździe z Jakucka. Te 1800 wiorst

---

Na wschodzie stoją „Panny“, zwane obecnie „Ruinami“. Ludność miejscowa zapomniała widać, iż skały owe dla tego tę nazwę nosiły, bo niegdyś mieszkały na nich dwie panny, tak piękne, przeczyste i pobożne, że miały we wzgardzie cały ród męzki. I chcąc ujść jego sidłom, skryły się na to pustkowie, gdzie trawiąc czas na modlitwie i postach, bogobojnego dokonały żywota.

W sto lat później mieszkała natomiast na jednej ze skał teściowa, a na drugiej młoda jej synowa, której mąż pociągnął był na wojnę do tureckiej ziemi. Teściowa, zła i bezbożna, żywiła w sercu zaciętą nienawiść ku synowej za jej piękność, za jej cnoty, i od rana do wieczora wydziwiała nieszczęśliwej z okien swego zamku. Młoda pani znosiła cierpliwie przez długi czas czynione jej wstręty, gdy jednak rok za rokiem mijał, a mąż z wojny nie wracał, — doprowadzona do rozpaczy, rzuciła się, w oczach teściowej, z krużganku zamkowego w przepaść.

Na prawo od chaty wójta odwieczna, we środku pusta lipa rozkładała pokręcone, mchem porosłe gałęzie. Szczególniejsze było to drzewo: przez cały dzień boży huczało w niem, dzwoniło, szumiało, śpiewało, niby w kruchcie kościelnej podczas sumy. Nauczyła się tego zapewne, stojąc przez tyle lat w blizkiem od kościoła sąsiedztwie.

Ksiądz proboszcz mawiał nieraz, że ta lipa jest ozdobą całej wsi i rad odpoczywał w jej cieniu, gdy droga do chorego wiodła go tamtędy.

Jeżeli był w dobrym humorze, wołał natychmiast:

— Gdzie jesteś, rusałko? Mam ochotę posłuchać pięknej jakiej bajki.

I rusałka przybiegała, zwinna, niby sarenka, całowała wielebnego proboszcza w ramię i zaczynała opowiadać mu bajki. Umiała ich mnóstwo, smutnych i wesołych, a tak znakomicie potrafiła opowiadać, że słuchacze już to drżeli ze strachu, już zapominali języka w gębie ze zdziwienia, lub śmieli się radośnie, że tak wszystko nadspodziewanie szczęśliwie się układało: że pięknym rycerzom w złotej zbroicy udawało się zawsze zwyciężyć potwornych olbrzymów,

drogi, cośmy w tej podróży ostatniej przebyli, dały się nam dobrze we znaki, ale teraz z jej ukończeniem zabłysła znowu nadzieja, że potrafimy jeszcze wykonać to, cośmy zamierzali; tą radośną nadzieją ożywieni, spieszyliśmy w drogę.
(D. c. n.)

Szkice z nad Niewiaży.

14)

W kilka lat po powstaniu, gdy stosunki się nieco ułożyły, zmieniły się powoli sposoby postępowania, zaczęto powoli zaprzestawać robić różnice pomiędzy uczniami prawosławnymi i nieprawosławnymi... To ostatnie nawet stało się zasadą ogólną, acz bardzo często naruszaną, ale nowy prąd reakcyjny, datujący się od 1887 r. coraz bardziej pogorszał stan rzeczy, aż nim nareszcie nie wytworzył się obecny, o wiele gorszy od stosunków popowstaniowych. Tę okoliczność trzeba tłumaczyć chyba tem, że w latach ostatnich najlepsi względnie nauczyciele i ludzie porzucili szkoły, szukając zarobku na innych polach.

Wogóle stan szkół średnich w państwie rosyjskiem jest opłakany, ale stokroć gorszym jest w okręgu naukowym wileńskim, rządzonym przez kuratora Siergiejewskiego, popowicza, zaciętego rusyfikatora. Rozumie się — ciężka ręka tego człowieka cięży kamieniem nad nauczycielami, od niej więc uciekają lepsi.

Uprzednio wspomniałem, że szkoła została uznaną za środek rusyfikacyjny; w tym celu starano się zrobić ją nietylko z nazwy, ale i z ducha i z liczby uczących się rosyjską... By to osiągnąć, wszelkimi środkami popierano uczących się Rosjan, starając się zwiększyć ich liczbę. W tym celu użyto dość oryginalnych środków prawodawczych, krom całego szeregu środków miejscowych już z 23 (11) października 1865 r. Car rozkazał asygnować corocznie 5000 rub. na zapomogi uczniom Rosjanom, w parę lat potem, bo 11. lutego (30. stycznia) 1867 r. car rozkazał zwolnić od zapłaty czesnego wszystkich uczących się Rosjan bez różnicy płci. Krom tego kurator naukowego okręgu wileńskiego z sum, wyłącznie na to naznaczonych, udzielał i udziela sutych zapomóg, dodać tu też należy, że zarządy towarzystw niesienia pomocy uczącej się młodzieży, znajdujące się zwykle w rękach władzy szkolnej, zazwyczaj udzielają uczniom prawosławnym pomocy sutej, nawet z krzywdą innych. Słowem, uczniowie Rosjanie pod każdym względem stanowią w naszych szkołach element uprzywilejowany, ale pomimo tego ilość uczących się zaczęła wzrastać,

---

którzy godzili na życie księżniczek, — że złośliwe czarownice, stające na przeszkodzie szczerej miłości, dościgała w końcu słuszna kara, a kryształowe zamki z górami srebra i złota, strzeżonemi przez stugłowe smoki, dostawały się cnotliwym kochankom w nagrodę za nadludzkie ich męstwo i przebyte cierpienia.

Stary proboszcz słuchał z uśmiechem, a potem przygładzając kędziory, uroczej bajczarki, mawiał: „Jesteś wcieloną poezją, dziewczyno!“

Rusałka odpowiadała uśmiechem na uśmiech, słysząc te słowa, czyniła to jednak z pewnym przymusem. Zdawało jej się bowiem, że ta nazwa ma w sobie coś drwiącego, że znaczy mniej więcej tyle, co posądzenie o brak klepki w głowie. Sądziła, że proboszcz powtarzał po łacinie, co inni mówili po czesku. Wszak to i owo obiło się już nieraz o uszy rusałki, bo...

Ale o włos byłabym zapomniała powiedzieć, że nasza rusałka nazywała się właściwie Elą i była jedynaczką wójta w Świetli. Ponieważ jednak włosy miała do powiewnego lnu podobne, a tak długie, że sięgały jej do pięt, więc dzieci nazywały ją w szkole „rusałką“ i ta nazwa pozostała przy niej na zawsze.

Nie potrzebuję chyba teraz dopiero powiadamiać czytelników, że wszystkie rusałki mają długie, złociste włosy, które rozczesują po wyrębach przy świetle księżyca. Ktoby zaś temu nie wierzył, niech idzie się przekonać do Jerzmanowej skały lub Czerwonego kamienia, gdzie rusałki zawodzą w jasne noce zawrotne tańce, aż rozkosz bierze patrzeć. Kto jednak życzy sobie dobrze im się przyjrzeć, powinien zachowywać głębokie milczenie, nie puścić ani pary z ust, w przeciwnym bowiem razie śliczne rusałki rozpłyną się w powietrzu, niby białe opary, wstające po nocach na wodą i wilgotnemi łąkami, a zuchwały śmiałek uczuje za karę silne uderzenie w twarz.

(D. c. n.)

Tłum. *M. W.*

wypadło więc zakładać oddziały równoległe: tak w r. 1875 istniały oddziały równoległe przy obu klasach wstępnych oraz 4 niższych obu gimnazjów.

W tym też czasie nawet same stosunki zmieniły się nieco na lepsze, sam system zaś zszarzał, zestarzał, spowszedniał, stał się czemś formalnem. W Szawlach wówczas powstały całe kolonje t. zw. szwedów, nie były to dzieci chłopów skandynawskich, ale żmudzkich, często żywiące się kaszą jęczmienną ze szwedami tj. skwarkami słoniny: ztąd nazwa. Były to dzieci włościan żmudzkich przysposabiające się do złożenia egzaminu z 4 klas, by wstąpić do seminarjum duchownego, bądź też do gimnazjum miejscowego.

Nie długo trwał jednak taki stan rzeczy, bo już w r. 1882 ograniczono komplet uczących się w klasie wstępnej gimnazjum w Kownie do 90; było to ograniczenie pierwsze, potem nastąpiły inne. Pod pretekstem częstego zakłócania porządku szkolnego, na żądanie władzy szkolnej władze administracyjne rozpędziły szwedów; działo się to w czasie zimy 1884/5 r. Jednocześnie też zaczęto stosować coraz surowsze wymagania do nowowstępujących, zwłaszcza dzieci włościańskich i żydów... Już w r. 1887 słynny okólnik Delanowa, ówczesnego ministra oświaty, oparty na uchwale komitetu ministrów z dnia 26. (14) czerwca tegoż roku, ograniczył ilość uczących się żydów do 10% liczby ogólnej oraz zakazał przyjmować do gimnazjów dzieci włościan i wogóle ludzi mniej zamożnych, stawiając warunki trudne do urzeczywistnienia. Warto tu dodać, że w naszych stosunkach z powodów politycznych okólnik ten w swej drugiej połowie nie bywa przestrzegany ściśle, ale w każdym razie ilość uczących się dzieci włościańskich ogromnie zmniejszyła się. Zmniejszyła się też ilość uczących się Żydów, bo co do nich okólnik Delanowski stosuje się dotąd z całą surowością. Ilość uczących się wciąż malała; nie pomogło nawet otrwarcie klas przygotowawczych, zwiniętych w r. 1886, a w dwa lata potem otwartych ponownie w miejscowościach, których ludność nie mówi po rosyjsku. Do nich zaliczono cały okręg naukowy wileński, a zwłaszcza gub. Kowieńską.

Wkrótce wypadło zwinąć oddziały równoległe w obu gimnazjach, bo w Kownie Rada miejska i Kahał żydowski odmówiły wszelkich zapomóg na ich utrzymanie; toż samo stało się w Szawlach... potem jednak coraz bardziej wzrastała surowość wymagań i postępowania z uczniami; naturalnie — nie obeszło się bez ostrych zatargów, zwłaszcza z powodu nakazu prowadzenia uczniów do cerkwi na nabożeństwo w dni galowe; nakazywano im nietylko być obecnymi, ale nawet brać udział pośredni w samem nabożeństwie, np. przyklękać. Naturalnie — wywołało to ostre protesty ze strony biskupa żmudzkiego i katechetów gimnazjalnych, biskupa*) ukarano odebraniem połowy gaży, katechetów zaś zesłano. Dopiero w r. z. wola cara położyła kres temu prześladowaniu: odtąd uczniowie nieprawosławni wolni są od konieczności bywania na nabożeństwach prawosławnych, z rana osobno dla każdego wyznania odprawia krótką modlitwę duchowny tegoż wyznania, u nas po łacinie, bo po polsku nie można. Nawet wola najwyższa była wykonana z wielką niechęcią: pomocnik ministra oświaty p. Aniczkow**) dwa miesiące taił rozporządzenie cara, aż nim minister spraw wewnętrznych kazał ogłosić o tem urzędownie. Nie obeszło się i bez awantur z tego powodu; najgłówniejszą była szawelska, zakończona zamknięciem do klasztoru na pół roku ks. katechety!

W każdym razie rząd osiągnął swój cel, utrudniając do granic ostatecznych miejscowej ludności możność kształcenia się w szkołach średnich! W r. 1861 w ówczesnych 4 gimnazjach i jednem progimnazjum (gimnazjum niższe) było 1730 uczących się, a w 35 lat potem, 897! Ale w poczet liczby uczących się wkluczyłem 203 uczniów szkoły realnej w Poniewieżu, zatem ilość gimnazjalistów wynosiła tylko 694, tj. zmniejszyła się prawie o 60% Za to jednak gimnazjum w Kownie w r. 1896 liczyło 158 prawosławnych na 145 katolików! Niegdyś stosunek ten był zupełnie odmienny, jak i dziś jest odmiennym w gimnazjum w Szawlach (76 praw. i 187 kat.) oraz, w szkole realnej w Poniewieżu (47 praw. i 123 kat.)! Ta ostatnia powstała w r. 1883. pobudką do tego był dar 200000 rub., zebranych pośród szlachty pow. poniewiezkiego na budowę szkoły w Poniewieżu, tudzież obietnica złożenia materjałów niezbędnych; stało się wedle życzenia. Szkoła realna w Poniewieżu zaczęła rozwijać się bardzo pomyślnie, ale od lat kilku wskutek zbiegu bardzo nieprzyjaznych okoliczności upada coraz bardziej.

Mamy też w Kownie rządową żeńską szkołę średnią, zwaną gimnazjum; szkoła ta w r. 1896 liczyła 424 uczenic, a w tej liczbie tylko 59 katoliczek! Odsetek ten jest dziś większy, niż był dawniej, ale to się tłomaczy tem, że w poczcie uczenic są włościanki, których przedtem nie było. Wogóle szkoła ta nigdy nie cieszyła się i nie cieszy się sympatją ogółu inteligencji miejscowej: uczyły się w niej wyłącznie niemal córki proletarjatu urzędniczego polskiego, oraz Polaków tz. zwodniałych. Prawdopodobnie tenże los czeka szkołę żeńską (progimnazjum, gimnazjum niższe o 4 klasach), która będzie otwartą w jesieni r. b. w Szawlach; głównymi inicjatorami są hr. Zubowowie, miejscowy marszałek szlachty oraz garstka inteligencji żydowskiej. Przed koronacją szlachta szawelska zobowiązała się wypłacić po 16 kop. od

*) Nieprawdą jest, iż biskupowi wrócono tę połowę, bo dotąd pobiera on zamiast 8000 rub. tylko 4000:

**) Za to stracił posadę,— by miał żyć z czego, zrobiono go senatorem (8000 rub.)

diesiatyny gruntów posiadanych na założenie szkoły gospodarczej dla kobiet, ale wystarano się o pozwolenie założenia progimnazjum... Wówczas szlachta uchyliła się od płacenia obiecanej składki i zmusić jej do płacenia nie można; cała składka, zbierana w gub. kowieńskiej z wielką gorliwością, wyniosła tylko 2800 rub., w którą wkluczono kilkuset rublowe datki Tow. kredytu wzajemnego w Szawlach oraz miejscowej Rady miejskiej! Tu warto nadmienić, że jestto pierwsza Rada miejska, która na cel podobny złożyła pewną kwotę; przewodniczącym jej i burmistrzem miasta jest p. Rymgajło, miejscowy właściciel ziemski, Polak z narodowości, ale ugodowiec zacięty.

Rozumie się, trudności, stawiane na każdym kroku naszej dziatwie w szkołach miejscowych, oraz przeszkody liczne, zmuszały i zmuszają dotąd oddawać dziatwę do szkół, znajdujących się w guberniach nadbałtyckich. W gimnazjach i szkołach realnych w Libawie i Mitawie prawie połowa uczniów pochodzi z gub. kowieńskiej, dużo też naszej młodzieży, zwłaszcza żeńskiej, uczy się w Rydze. W tem ostatniem mieście są pensje polskie. Do reformy ostatniej, wprowadzającej język rosyjski, jako wykładowy do szkół nadbałtyckich, gimnazja miejscowe np. mitawskie, acz niemieckie, budziły powszechny szacunek i zaufanie, to ostatnie miało przeszło 1000 uczniów. Dziś sława ta minęła już, gimnazja i szkoły są już rosyjskie z wykładów, ale bądź co bądź o wiele lepsze jednak od naszych miejscowych, bo tam bardzo mało pracuje »diejatielej« rusyfikatorów; zresztą muszą tam oni z konieczności liczyć się z rzeczywistością, co ich bardzo krępuje.

Na zakończenie jedno pytanie: czy średnie szkoły rosyjskie rusyfikują naszą młodzież, czy nie? Trudno odpowiedzieć na nie, w każdym razie jednak nie zdarzyło się słyszeć, by młodzież, należąca do warstw kulturnych, rusyfikowała się, acz często fałszywa nauka, nawet świadomie fałszywa, zamąca i wypacza jej sądy. Wogóle szkoła nie daje ani najmniejszego pojęcia o przeszłości kraju i o stosunkach obecnych, bo te pojęcia, które wkłada ona w głowy uczniów, są zwykle tendencyjne, fałszywe i ciasne. Należy wszakże zauważyć, że szkoła wraz ze swymi nauczycielami wzbudza w wychowańcach, należących do klas kulturalnych, zwykle taką nienawiść i pogardę, że zdanie nauczycieli i podręczników szkolnych uważają się wprost za kłamstwa... Inaczej natomiast dzieje się z młodzieżą włościańską: ta z domu i ze stosunków rodzinnych nie wynosi żadnej kultury lub tradycji cywilizacyjnych, a w gimnazjum przesiąka najgorszymi wyziewami kultury rosyjskiej w jej formie urzędowej... Ztąd to pochodzą maturzyści, potem akademicy, pozbawieni wszelkich rysów prawdziwej kultury europejskiej, a przesiąknięci jadem nienawiści do warstw uspołecznionych na Litwie, są to marzyciele najgorszego gatunku, starający się truć masy ludowe... Nazywają ich litwomanami, są to stanowczy wrogowie naszej umysłowości i kultury, naszych ideałów społecznych, wogóle naszego narodu. Nie wielu ich jest, ich wpływy są bardzo słabe i nikłe, bo masy ludowe stoją od nich zdala. Konieczność życiowa zmusza ich zwykle do szukania pracy na dalekim wschodzie, dzięki czemu mamy ich u siebie bardzo a bardzo mało.

Bardzo pilną uwagę zwrócono na rozwój szkolnictwa ludowego, albowiem naiwnie sądzono, że szkoła rosyjska zyska szerokie unanie śród ludu i w lat kilkadziesiąt nauczy go języka Iwana Groźnego; w r. 1864 prasa rosyjska twierdziła, że nie minie lat 20—30, a matka żmudzinka będzie do snu tuliła swe dziecię kołysanką w języku urzędowym! Rozczarowanie zupełne: w roku 1896 zaledwo 4·6% ogółu dzieci włościańskich w wieku szkolnym uczęszczało do szkół rządowych! W tym też roku wedle urzędowego sprawozdania kuratora okręgu naukowego wileńskiego z 15 składów książek litewskich (czcionkami rosyjskiemi) i rosyjskich, znajdujących się w gub. kowieńskiej, sprzedano tylko 3 książeczki za 36 kop.! Wszakże ludowa szkoła rosyjska liczy już u nas przeszło pół wieku swego istnienia.

(D. c. n.) *J. Syrokomla.*

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY.

L E N O R A.

2) **(Na temat Bürgera).**

— Nie może być — aby po ciebie, tak młodą i piękną nie wyciągnęły się znowu chciwe ramiona — by się nie zapalały do ciebie żądne serca! Powtórzą się zapewne te czasy, gdym musiał stawać w całym szergu — by cię wywalczyć. Nie może być, by cię pozostawiono w spokoju! O zaklinam cię, zaklinam — odepchnij że od siebie napastników, których ja już nie będę mógł odepchnąć!

Głos jego staje się żebrzącym, jak gdyby chciał przyciągnąć całą jej litość z najgłębszych duszy zakątków.

— Zaklinam cię mojem błaganiem ostatniem, wzrokiem mym, gorejącym całą rozpacą bezdenną! wzrokiem strasznym — sam czuję! strasznym, jak ginącego na rusztowaniu katowskiem! Sam się obawiam wzroku tego, gdy się odbija w źwierciadle... Niech ci się zdaje, że te nieszczęsne oczy moje zawsze na ciebie patrzą, zawsze błagają ciebie, zawsze ci nawet rozkazują mocą, która ciało me przetrwa! o przetrwa, przetrwa!

Chrapliwe łkanie wstrząsa członkami jego. Dziewczyna chwiejąca się i wyczerpana, bliska omdlenia prawie – nic już nie mówi. Dłonie jej tylko usiłują pochylić jego ramiona i zmusić go, by się położył. Ale on nawet silniejszym jest od niej w tej chwili; gwałtownym nerwowym ruchem odsuwa jej drobne, słabe ręce — i mówi znowu coraz szybciej, coraz burzliwiej, choć z każdą chwilą trudniej i trudniej oddychać mu i mówić.

— Potworny jestem, nieprawdaż? Ależ i potwornie, potwornie nieszczęśliwy! Wymagam wierności dla trupa! Bo nie śmiem marzyć o wierności narzeczonemu-duchowi, któryby pragnął unieść cię, ukochana, na lekkich skrzydłach w przestworza, gdy także wyzwolonym duchem się staniesz!... Wiesz, że bywały takie chwile złowrogie, gdy stawałem się wprost strasznym — a tyś nie podejrzewała nawet niebezpieczeństwa, które ci wówczas groziło. Gdybym mógł wierzyć, że nie rozproszę się w jakimś wirze duchowym — jak ciało moje w pyle ziemskim, że nie wsiąknę w zbiorową mgłę nieśmiertelną, własnemi drobnemi cząstkami własnej mej mgły nieśmiertelnej — to bym cię może... zabił! podstępnie zwlókł się z tego łoża śmierci i zabił cię, wytężając te marne resztki sił! — ciebie, znużoną i bezsilną po długich dniach i nocach czuwania! Zabiłbym — aby cię unieść ze sobą, mój ty raju... i moja ty rozpaczy zarazem!

Mimowolne drżenie wstrząsa nią od stóp do głowy i budzi z bezsilnej, martwej apatji. Odzywa się błagalnie i słodko:

— Czego tylko zażądasz — wszystko ci przyrzeknę, na wszystko się zgodzę, ale miejże litość nad sobą nareszcie! Wyczerpujesz się, zabijasz się niemiłosiernie... szalone myśli cię męczą! Spokoju trochę, skpokoju — litości nad sobą, nademną!

— Nie przerywaj mi, nie przerywaj, bo nie zdążę nic już powiedzieć! — woła on gniewnie, jeszcze gwałtowniej unosząc się na posłaniu. — Kilka minut więcej, czy mniej — wszystko już jedno! Mogę nawet przytomność stracić w ostatniej chwili!... Gdybym więc mógł wiedzieć, czy jestem tylko błotem ziemi i mgłą mgły jakiejś duchowej — czy tym błękitem nieba, w który i ty i inni wierzycie pomimo wszystko... Cha, cha! pomimo wszystko, jak niby tego jeszcze było wam za mało!... Posłuchaj — jest to zapewne chorobliwe majaczenie spalonego gorączką mózgu. Ale zaczyna mi się wydawać z coraz większą siłą i z coraz większą pewnością nieświadomego przekonania, że tam... naprawdę jest jakieś życie indywidualne. A jeżeli jest jakaś chociażby iskra jego — to ją rozdmucham w płomień potęgą mej natury, mej namiętnej miłości do życia w jakiejbądź formie! A jeśli żyć tam będę — to znajdę moc chociażby chwilowego powrotu na ziemię! Wierzę w to, wierzę, bo dotykam już granicy świata nadziemskiego... bo już przeczuwam, odczuwam — obejmuję już prawie potężnym wzrokiem obszary jego, kraj pobratymców moich, umarłych! Ja... ja „będę“ tam i będę „sobą!“ A jeśli tak, — to wyrwę się do ciebie, to wyrwę się po ciebie, jak rycerz ów poległy po swą Lenorę! Przemogę moce niebieskie, czy piekielne! Uniosę cię do nieba, czy do grobu! Ja przyjdę! przyjdę po ciebie!

Głos jego, rwący się dotąd nierówno, burzliwie i gwałtownie — umilka nagle, jak płomień świecy zdmuchniętej. Tylko ogromne źrenice, płonące w niszach głębokich, wśród kości, zaledwie skórą powleczonych, nie gasną, nie milkną ani na chwilę. Błagają one i rozkazują zarazem, pieszczą i grożą. I zdaje się w tej chwili zamierającemu z cierpień dziewczęciu, że dziwny wzrok ten wyciska jakieś piętno ogniste na mózgu jej i na sercu, że płomień wzroku tego zapala w mózgu jej i sercu jakieś zarzewie złowrogie — i że to coś nazawsze tam pozostanie — ta iskra zła, paląca.

— Nie groź mi tak, nie błagaj mnie tak... strasznie! — mówi głosem złamanym. — Przypuszczenie nawet... zdrady — bluźni nam obojgu.

Wzrok jego pod smutnem drżeniem jej głosu mięknie i mgłą się powleka. Wspiera się na spiętrzonych poduszkach i po dłuższej chwili spoczynku i ciszy znów się odzywa zaledwie dosłyszalnie. Tylko subtelne ucho dziewczyny w omdlewającym tym szepcie — chwyta dla niej jedynej dostępne modulacje cichej boleści, potem jak niby rozmarzenia nawet... potem ekstatycznego zachwytu dla wizji upragnionej.

— Masz słuszność! nie powinienem się obawiać żadnych rywali ziemskich — ja — mieszkaniec już prawie świata wyższego nadewszystkie! ja — posiadacz już prawie wielkiej tajemnicy, którą przez całe życie człowiek usiłuje przeniknąć! ja — nadziemski królewicz z zaczarowanej krainy odwiecznej baśni ludzkości!... Jako nadziemski królewicz, przybrany w urok czarowny oślepiającej urody, w ślubną koronę z gwiazd i promieni, w srebrzysty chiton Antinousa... na jasnych skrzydłach serafina... przy dźwiękach cytr i harf zmarłych geniuszów pieśni... w królewskim ślubnym orszaku zmarłych mocarzy ducha — przybędę po ciebie, oblubienico moja! Wszystkich zagaszę i zaćmię! Olśnię cię czarem bajecznym! Uniosę cię na

mocnych skrzydłach — dla niewyśnionych rozkoszy, o których wasza ziemia nikczemna marzyćby nawet nie potrafiła! Wprowadzę cię do mego raju — raju mój ty, ziemski raju jedyny!

Uśmiech pełen zachwytu rozchyla jego usta, perlista łez zasłona spada na oczy... Trwa to jednak przez krótką chwilkę zaledwie. Męczeński kurcz przebiega nagle po jego twarzy, złowroga łuna we wzroku znów się roznieca, podnosi się gwałtownie z posłania i chwyta obie ręce dziewczyny w swe dłonie. Dłonie te twarde i sztywne usiłują przyciągnąć ją do chwiejącego się ciała. Nie sprzeciwia mu się, pochyla się kornie całą postacią ku niemu. Owiewa ją oddech chrapliwy, wstrętnie cuchnący... Twarz jego mieni się dziwnym, nieznanym dotąd wyrazem. Przeraża ją ten dziwny, dziki wyraz — i wtenczas usiłuje już wyrwać się z kościstych kajdanów, skuwających jej dłonie, by nieść mu pomoc, by wołać o ratunek... Lecz on bez porównania silniejszym jest od niej w tej chwili. On jej nie puszcza. Przebija ją tylko znowu okropnym wzrokiem, który śmierć zdaje się widzieć wyprostowaną w całej grozie — i szept syczący wpada raz jeszcze do jej ucha:

— Pamiętaj! tyś moja! moja tylko!

Pada na wznak ciężko i sztywnie, tak nagle i tak kamiennie, że ona ze skutemi wciąż jeszcze w jego dłoniach rękami pada z nim razem, uderzając głową o straszną pierś rzężącą. Zanim zdąża nareszcie wyrwać się z tego uścisku, miotająca się pierś nagle ucicha. Z krzykiem się cofa — i znów się rzuca ku niemu. Na twarzy jego drga jeszcze wyraz przedśmiertnej męki. Dziewczyna nie zdaje się z początku rozumieć szatańskiego grymasu, co rysy te wykrzywia. Nieprzytomnie, machinalnie prawie rozgładza twarz tę rękami, przesuwa dłonią po oczach dzikich, okropnych... I oto powieka opada na nich zwolna pod tem dotknięciem drżącej dłoni... A ona się wpatruje wciąż jeszcze nieprzytomnie, z nadmiernem jakiemś zdziwieniem w te rysy zamarzające, wygładzające się powoli. Wspaniałe, czarne rzęsy rzuciły już z pod powiek łagodne cienie jedwabne. Zwarte, klasyczne usta nie wydają już więcej ani wyrazów szalonych, ani oddechu cuchnącego...

Dopiero teraz poznaje „jego“. Widzi go wreszcie uśpionym, pięknym, cichym, dawnym.

— To on! to on!... to jego, jego już niema!

Pada u stóp tych zimnych i bije, bije głową o ziemię — bez jęku, bez wyrazu. Wtenczas rzucają się ku niej ludzie, których on dotąd gniewnie odganiał od siebie i od niej.

(D. c. n.)

Z pism i książek.

— Poetka, ceniona powszechnie, autorka, ciesząca się uznaniem ogólnem i w pełni zasłużonem, Marja Konopnicka, wydała obecnie książkę, noszącą tytuł „*Mickiewicz, jego życie i duch*“. Nie wielka to jest książka co do objętości, lecz za to niezmiernie cenna i wielce doniosłe mająca znaczenie ze względu na piękność formy i etyczno narodowe cele.

Czytając pracę autorki rzeczonej, podziwiamy w niej jasność myśli, nowość poglądów, ale przedewszystkiem uderza nas podniosłość ducha, który ją ożywia i przenika od początku do końca.

Ażeby módz napisać taką biografję poety, jak niniejsza, trzeba mieć duszę nawskróś poetyczną, uczuciową, umysł wysoce wykształcony, trzeba umieć kochać szczerze i gorąco naród swój i wieszczów narodowych, miłować ludzkość całą, trzeba następnie umieć odczuć cierpienia człowiecze, cierpienia moralne miljonów nieszczęśliwych, a nadto trzeba samemu przejść przez ciężkie próby nieszczęść i doświadczeń życiowych. Przy takich tylko warunkach i środkach koniecznych, książka, jaką mamy obecnie przed sobą, powstać mogła.

Marja Konopnicka, pisząc dzieło swoje, społeczno-dydaktyczne, miała jako cel najbliższy, tchnąć przez nie w szerokie masy czytelników ducha Mickiewiczowskiego, ducha najwznioślejszych ideałów i poświęcenia bez granic, rozniecić i rozpłomienić na nowo iskrą miłości przygasłe uczucia altruizmu społecznego, pokrzepić potęgą własnego serca moralną siłę życia rodaków, nareszcie oświetlić spójnię, łączącą naród z narodowym wieszczem.

Że cel zamierzony osiągnięty jest najzupełniej w pracy omawianej o tem się przekonać może każdy, kto ją do rąk wziąść zechce, chodzi więc teraz tylko a to, ażeby była w rękach u wszystkich, a wtedy skutek upragniony przez poetkę nastąpi niezawodnie, bo słowa jej znajdą łatwą drogę do serca rodaków. — Jeżeli w każdej innej chwili książka Marji Konopnickiej z wdzięcznem uznaniem byłaby przyjęta przez społeczeństwo nasze, to w obecnej dobie jest ona tem więcej dla niego potrzebna wobec dzisiejszych naszych smutków, boleści, rozgoryczenia, a często nawet zwątpienia i stać się powinna nową ewangelją życia, wiodącą ku światlejszym horyzontom przyszłości. Wpatrzeni w idealną, jasną postać wieszcza, skreśloną mistrzowskiem i pełnem miłości piórem autorki, znajdujemy w niej wzory cnót rodzimych, narodowych, a zarazem cudowne źródło ukojenia, pociechy, nadziei, z którego nabrać możemy sił nowych i nowych chęci do życia wzniosłego, do poświęceń dla celów ogólnego dobra, dla ojczyzny i ludzkości.

Dr. D.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.